

KLUB MARTINI

TESS GERRITSEN

NAJBARDZIEJ ZNANA NA ŚWIECIE
AUTORKA KRYMINAŁÓW MEDYCZNYCH

LATO TAJEMNIC



Nie lekceważ emerytowanych szpiegów.

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE SUMMER GUESTS

Copyright © Tess Gerritsen 2025
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Jan Kraśko 2025

Redakcja: Piotr Królak

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcia na okładce: © Mark Fearon/Arcangel (*dom*);
© Evelina Kremsdorf/Arcangel (*łódź*); © Regine Heintz/Arcangel (*jezioro*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Purity, stan Maine, 1972

W ostatnim dniu życia policjant Randy Pelletier zamówił filiżankę kawy i jagodową muffinkę w Marigold Café.

Zamawiał je zawsze po nocnej służbie, w nagrodę za samotne godziny spędzone w radiowozie, za to, że chronił ulice miasta i boczne drogi przed pijanymi kierowcami, przekraczającymi dozwoloną prędkość turystami i, od czasu do czasu, wściekłymi szopami pracami. Jak zwykle siedział przy narożnym stoliku przy oknie, gdzie mógł cieszyć się ciepłym porannym słońcem, jednocześnie mając oko na to, co dzieło się na Main Street. Bo dobry policjant nigdy nie traci czujności, nawet po służbie. Co więcej, mijający kawiarnię ludzie widzieli przez okno, że nadal ma pieczę nad miastem. Dla lokalnej społeczności było to bardzo ważne, bo w razie jakichś problemów wszyscy dobrze wiedzieli, gdzie szukać miejscowego stróża prawa: właśnie tu, przy stoliku za oknem Marigold Café.

– Dolać? – spytała Carla, pochylając dzbanek nad jego

filiżanką.

– Chętnie, poproszę.

– Jak minęła noc? – Kelnerka dołała mu mocnej czarnej kawy.

– Bardzo spokojnie.

Carla roześmiała się.

– Czyli po naszej myśli!

– To prawda.

– Może jeszcze jedną muffinkę? Ze świeżej partii, prosto z pieca.

Obwód w pasie pewnie mu za to nie podziękuje, ale ponieważ burczący brzuch bardzo nalegał, Randy nie odmówił. Bo kto by odmówił Carli, która pracowicie zaopatrywała miasto w plotki i świeże wypieki? Podczas gdy ona poszła do kuchni, on rozłożył najnowszy numer „Purity Weekly” i przebiegł wzrokiem nagłówki na pierwszej stronie: *Letnie rezerwacje biją rekordy...*, *Czarny niedźwiedź na Oak Street...*, *Dwie osoby ranne w wypadku samochodowym...* Przewrócił kartkę, by zerknąć na kronikę policyjną na trzeciej stronie. Nie żeby musiał – znał szczegóły niemal wszystkich wykroczeń drogowych z ostatniego tygodnia, wszystkich zgłoszeń pod 911.

James Cory, Boston, stan Massachusetts: przekroczenie dozwolonej prędkości.

Richard Simpson, Purity, stan Maine: nieważne prawo jazdy.

Jonathan Allen, Augusta, stan Maine: picie alkoholu w miejscu publicznym.

Scott Wiedemann, Albany, stan Nowy Jork: oddawanie moczu w miejscu publicznym.

W sumie typowy tydzień, jak to w czerwcu, kiedy połowę ludzi w Purity stanowili wakacyjni turyści, niesfori i często pijani. Uciekając od smrodu i skwaru miast, przyjeżdżali tu co lato z Massachusetts, Nowego Jorku i miejsc jeszcze odleglejszych. A jego zadaniem było pilnowanie, żeby nie zrobili krzywdy ani sobie, ani innym, i odesłanie ich do domu z nieco lżejszymi portfelami.

Brzdęknął dzwonek u drzwi. Randy podniósł wzrok i zobaczył, że do kawiarni wchodzi dwóch obcych. Wiedział, że to przyjezdni, bo byli w czarnych, skórzanych kurtkach, choć termometr wskazywał ponad dwadzieścia stopni w cieniu. Przystanęli w progu i rozejrzeli się wokoło, jakby mieli zamiar kogoś obrabować. Zauważyli go i zamarli.

Tak jest, panowie. Stróż prawa czuwa.

– Jak się macie, chłopcy? Stolik? – Klient kawiarni mógł mieć osiemdziesiąt lat, a Carla nie tylko wciąż nazywałyby go „chłopcem”, ale i gotowa byłaby dać mu klapsa za złe zachowanie.

– Hm, tak – odparł w końcu jeden z nowo przybyłych.

Carla zaprowadziła ich do stolika stojącego na tyle blisko, że Randy mógł mieć ich na oku. Obaj wzięli do ręki plastikową kartę dań i trochę za długo studiowali śniadaniowe menu, jakby chcieli uniknąć jego wzroku. Kolejny szczegół, który kazał mu przyjrzeć się im uważniej. Częściej miał do czynienia z rozhukanymi nastolatkami i pijanymi kierowcami, ale wiedział, że duże kłopoty rodzą się czasem nawet w

małych miastach, i lubił myśleć, że potrafiłby im sprostać. Wyobrażał sobie nawet nagłówki w „Purity Weekly”. Nie, wróć: w „Boston Globe”. Tak byłoby jeszcze lepiej.

Policjant z Maine w pojedynkę obezwładnia dwóch poszukiwanych bandytów.

Nie wiedział, czy ci dwaj są uzbrojeni, ale nie zaszkodziło być przygotowanym, więc dyskretnie rozpiął kaburę. Tamci nadal studiowali jadłospis, który mieścił się na jednej stronie i nie oferował nic bardziej wyszukanego niż tosty francuskie i smażone jajka – kolejny znak, że z nieznanymi coś jest nie w porządku.

Ten niższy zerknął na Randy’ego znad karty dań. Tylko zerknął, mimo to spotkali się wzrokiem. Spotkali się i przez sekundę patrzyli na siebie. Kątem oka Randy zobaczył Carlę idącą do ich stolika z dzbankiem kawy. Na ulicy ryknął silnik samochodu.

Ale Randy tak bardzo skupiał uwagę na obcych, że nie zauważył białego vana, który śmignął za oknem.

Usłyszał przeraźliwy pisk opon, przyprawiający o mdłości trzask metalu uderzającego w metal i dopiero wtedy spojrział w okno. Zobaczył odłamki szkła zaścielające ulicę i...
Jezu Chryste, czy to ciało?

– O Boże! – krzyknęła Carla, wciąż z dzbankiem w ręce. Ona też patrzyła w okno.

Randy zerwał się z krzesła i wybiegł z kawiarni. Pierwsze ciało leżało kilka metrów od wejścia, w powiększającej się kałuży krwi. Mężczyzna z kręgosłupem wygiętym tak makabrycznie, jakby rozebrano go na kawałki, a potem źle

złożono, stopami do tyłu. Po drugiej stronie ulicy leżało drugie ciało: kobiety w rozdartej różowej bluzce, z nieprzyzwolicie odsłoniętą dojrzałą piersią. Randy z trudem oderwał od nich wzrok, spojrział tam, skąd dochodziło wycie klaksonu, i zobaczył trzecie ciało, kolejnej kobiety. Ta miała niemal na płask zmiażdżoną klatkę piersiową i leżała wśród jabłek i pomarańczy, które wysypały się z jej torby.

A na skrzyżowaniu stał biały van z maską wbitą w bok niebieskiego sedana.

Randy miał wrażenie, że kula ziemską przestała się obracać. Minął kilkoro przerażonych przechodniów, którzy znieruchomieli z rękami na ustach, minął dwóch obcych w skórzanych kurtkach, którzy wybiegli za nim z kawiarni i zaszokowani stali teraz z rozdziawionymi ustami. Wydawało się, że w tej horrendalnej stop-klatce porusza się tylko on. Dochodząc do skrzyżowania, przeczytał napis na białym vanie: *Tarkin – Stolarstwo Meblowe*. Znał ten samochód. Znał jego kierowcę. Z silnika buchał czarny dym, budzący grozę zwiastun kolejnej katastrofy.

Przez okno zobaczył Sama Tarkina, który siedział pochylony z twarzą na kierownicy. Szarpnął za klamkę i otworzył drzwi. Nie dostrzegł krwi ani oczywistych obrażeń, ale Sam jęczał, cały się trząsał.

Randy wyciągnął ręce i rozpiął pas bezpieczeństwa.

– Wsiadaj! – krzyknął. – Musisz wsiąść! Sam? Sam!

Nagle Tarkin usiadł prosto i Randy ujrzał kogoś, kto jedynie wyglądał jak Sam Tarkin, kto miał jego ciemne włosy i kanciastą twarz. Ale oczy... Co było nie tak z jego oczami?

Żrenice. Zamiast źrenic miał bezdenne czarne dziury, jak przybysz z innej planety. Nie, ten spocony, rozdygotany stwór wyglądał jak ktoś inny. Jak... coś innego.

Randy zerknął na uchodzący spod maski dym. Musiał go stąd wydostać, i to natychmiast. Chwyił go za rękę i pociągnął.

– Precz! – krzyknął piskliwie Sam. – Idź precz! – I rzucił się na niego z pazurami, poharatał mu twarz.

Randy cofnął się, czując, że po policzku spływa mu krew. Jezu, człowieku, co ci jest? Rozwścieczony, wywłókł Tarkina z samochodu i upadli na chodnik. Ale nawet wtedy Sam nie przestał szarpać się i wrywać. Chcąc go obezwładnić, zdesperowany Randy chwycił go obiema rękami za gardło i ścisnął. Ścisnął tak mocno, że Tarkinowi oczy wyszły z orbit i upiornie posiniała mu twarz.

– Przestań! – ryknął Randy. – Przestań się szarpać!

Nie poczuł, że Sam sięga do jego kabury – kabury, którą Randy już rozpiął. I nagle stwierdził, że patrzy w otwór lufy własnego rewolweru.

– Nie rób tego – powiedział. – Sam, nie...

Ale to nie Sam Tarkin przeszywał go wzrokiem.

I to nie on pociągnął za spust.

ROZDZIAŁ DRUGI

Maggie

Teraz

Był idealny letni wieczór. Maggie i jej przyjaciele siedzieli przy piknikowym stole, sącąc martini i obserwując ptaki. Patrzyli przez lornetki na jaskółki dymówki, nurkujące i wirujące nad świeżo skoszoną łąką jak granatowe konfetti. Wszyscy byli odprężeni, uśmiechnięci i nieuzbrojeni.

Choć co do tego ostatniego szczegółu Maggie miała pewne wątpliwości. Po prostu założyła, że nikt z nich nie odczuwał potrzeby, żeby przyjść na spotkanie z bronią, bo doprawdy, po co? Każde z nich mogłoby bez trudu rozpętać piekło kawałkiem rozbitego szkła, a teraz, dyskutując o książce miesiąca, wszyscy trzymali w rękach łatwo tłukące się kieliszki. *Geniusz ptaków* – książkę wybrała Maggie, dlatego tym razem to ona była gospodynią spotkania członków Klubu Martini, jak nazywali te miłe, zakrapiane posiedzenia. Rola nie należała do zbyt uciążliwych, ponieważ jedzenie każdy przynosił sam, a głównym obowiązkiem Maggie – spoczywającym zresztą na wszystkich gospodarzach tych spotkań

– było zapewnienie wystarczającej ilości alkoholu. W tym przypadku określenie „wystarczająca ilość” znaczyło trzy rodzaje wódki, dwa rodzaje ginu, wytrawny wermut, czerwone i białe wino i, po kolacji, kilka rodzajów whisky single malt.

Tego dnia było cudownie ciepło, więc z ginem, wódką, wermutem i kubelkiem lodu przenieśli się do piknikowego stołu, by nacieszyć się widokiem falujących pól. Przed trzema laty, gdy Maggie po raz pierwszy przyjechała do Purity, ten właśnie widok przekonał ją do kupna farmy Blackberry i do tego, by wreszcie zapuścić korzenie. Znalazła tu odrobinę spokoju. Latem zbierała jajka od stada niosek i sprzedawała je na miejscowym targu. Zimą odgarniała łopatą śnieg, opiekowała się świeżo wyklutymi kurczakami i studiowała katalogi nasienne, by wiosną posadzić coś w ogródku warzywnym.

Ale spotkania z przyjaciółmi odbywały się bez względu na porę roku. Poznała ich wiele lat temu, na długo przed tym, jak wszyscy przenieśli się do Purity, gdzie po cichu zniknęli w tłumie innych emerytów. Gdzie ludzie nie pytali ich o dawną pracę ani o stare tajemnice. Tajemnice, którymi dzielili się swobodnie jedynie między sobą.

Tego wieczoru Ingrid Slocum wzięła na siebie obowiązki barmanki i właśnie przygotowywała drugą porcję martini, energicznie potrząsając kostkami lodu w shakerze ze stali nierdzewnej. Słyszając wesoły grzechot, Maggie wróciła myślami do czasów w Camp Peary, znanego też jako Farma, gdzie ich czwórka – ona, Declan, Ben i Ingrid – zaprzyjaźniła się na kursie dla początkujących. Teraz, patrząc na ich

twarze, Maggie wciąż widziała ich takimi, jakimi byli wtedy. Ben Diamond, muskularny mężczyzna o byczym karku, który potrafił zmrozić spojrzeniem każdego napastnika. Bystrooka Ingrid, która najszybciej z nich wszystkich umiała znaleźć wyjście z każdego zamkniętego pokoju. I Declan Rose, przystojny syn dyplomaty, który potrafił oczarować każdego samym tylko uśmiechem. Czterdzieści lat później mieli bardziej siwe włosy albo – jak w przypadku Bena – nie mieli ich wcale. Z biegiem lat doszły do tego nieuniknione zmarszczki, sztywne stawy i dodatkowe kilogramy, mimo to nadal byli czworgiem muszkieterów z Farmy, niezrażonych upływem czasu i gotowych na nowe wyzwania.

I na dobrze przyrządzone martini.

– Szkoda, że wymierają – powiedział Declan, patrząc na nurkujące ptaki, i westchnął. – Następne pokolenie nie zobaczy tu ani jednej dymówki. – Podał lornetkę Benowi. – Jest lepsza od twojej. Zobacz.

Ben, najwyraźniej niezbyt wielki miłośnik ptaków, przytknął ją do oczu bez większego entuzjazmu. Zresztą z ogoloną na tyso głową i groźną miną zdecydowanie nie wyglądał na fanatyka ornitologii.

– Skąd wiesz? Że dymówki wymierają?

– Czytałem w „Purity Weekly”. W zeszłym miesiącu, w rubryce dla obserwatorów.

– Naprawdę tam zaglądasz?

– Obserwowanie ptaków to świetna przykrywka operacyjna. Kiedy cię złapią i musisz się jakoś wyłgać, warto znać chociaż podstawy tematu.

– Ktoś chętny na jeszcze jedną kolejkę? – spytała Ingrid.
– Lloyd przyniesie zaraz przystawki, a są dość słone. Będzie się wam chciało pić.

Ben podniósł rękę.

– Od tych rozmów o ptakach już teraz mi się chce. Hendrick’sa poproszę, bez wermutu.

– A oto i antipasti! – zaanonsował wesoło Lloyd, wychodząc z domu z tacą pełną oszalamiających włoskich przystawek, z których sływały: szaszłyków z fety i karczochów, marynowanych grzybków oraz cieniutkich jak papier plasterków salami. – Tylko się tym nie zapchajcie – ostrzegł. – W piekarniku dochodzą zrazy, a zrazy wymagają wilczego apetytu.

Ben spojrzął na Ingrid, która właśnie podała mu świeżo wstrząśnięte martini.

– I z takim kuchaczem nie ważysz jeszcze stu czterdziestu kilo? Jakim cudem?

– Dzięki surowej dyscyplinie – odparła, siadając w drewnianym fotelu ogrodowym z własnym drinkiem.

– Czy możemy już podyskutować o książce miesiąca? – spytał Declan.

Ben cicho jęknął.

– Skoro musimy...

– Bo moim zdaniem jest absolutnie genialna. – Declan uniósł nową lornetkę. – Zainspirowała mnie do kupna tego Zeissowskiego cacuszka.

– Jest dużo lepsza od szpiegowskiego gnioła, którego czytaliśmy w zeszłym miesiącu – ocenił Lloyd, sadwiąc swoje okazałe ciało w fotelu stojącym obok Ingrid. – Pisarze

nigdy nie potrafią dobrze tego oddać.

– Który rozdział podobał wam się najbardziej? – spytał Declan.

– Mnie ten o wróblach – odparła Maggie. – Większość ludzi ich nie zauważa, bo są takie... zwyczajne, pospolite. Mimo to udało im się zinfiltrować niemal całą planetę. Uważam, że to cudowne.

Ben cicho prychnął.

– Mówisz o wróblach czy o nas?

– Cóż, trudno nie dostrzec pewnych podobieństw, nie sądzisz? – odezwała się Ingrid. – Wróble są jak tajni agenci ptasiego świata. Nie rzucają się w oczy. Nikt ich nie zauważa. Są niemal wszędzie, ale pozostają niewidoczne.

– Zaraz – rzucił Ben. – Czy to możliwe? Naprawdę przeczytaliśmy tę książkę? Wszyscy? To chyba pierwszy raz.

Wymienili spojrzenia.

– To jest klub książki – przypomniała mu Ingrid. – Nawet jeśli przychodzimy tu głównie na martini.

– I na kolację – dodał Lloyd. – Która jest już chyba gotowa.

Ale nikt nie ruszył się z miejsca. Wszystkim było dużo wygodniej tutaj, w fotelach ogrodowych, z drinkiem w ręce i wspaniałymi widokami. W oddali zadźwięczały dzwonki – to sąsiadka Maggie, chuda jak patyk, czternastoletnia Callie, prowadziła przez łąkę stadko kóz i krowę. Pomachała do nich ręką, a oni jej odmachali. Cykały świerszcze, a na niebie wciąż trwał pokaz powietrznych akrobacji śmigających i nurkujących jaskółek.

Ingrid westchnęła.

– Czy życie może być lepsze?

Nie, pomyślała Maggie. Była to jedna z tych rzadkich, idealnych chwil przyprawionych cierpkim smakiem wódki i niesionym przez wiatr zapachem świeżo skoszonego siana. No i uśmiechem siedzącego obok niej kochanego Declana. Miał sześćdziesiąt osiem lat i jego czarne niegdyś włosy mocno przyprószyła już srebrzysta siwizna, ale wiek tylko podkreślił jego irlandzką urodę, co doceniła dopiero teraz, w jesieni życia.

Przez całą karierę pracowała pod presją kryzysu, często nie mając pewności, czy wszystko zaraz się nie rozpadnie, dlatego wiedziała, jak ulotne są chwile takie jak ta, kiedy wszyscy są zdrowi i bezpieczni i gdy nie grozi im żaden kataklizm. Ale nieszczęście mogło nadejść nagle i niespodziewanie. Wypadek samochodowy. Atak serca. Podejrzany cień na zdjęciu rentgenowskim. Nawet teraz, w ten piękny wieczór, siedząc wśród przyjaciół w zapadającym nad łąkami zmierzchu, czuła, że nadchodzą kłopoty.

Nie wiedziała tylko, kiedy zapukają do ich drzwi.

ROZDZIAŁ TRZECI

Susan

Jechali do Maine z George'em Conoverem w bagażniku.

Uważała, że przewożąc upchnięte między walizkami skremowane ludzkie szczątki, nie okazują im szacunku, ale skoro nikt z rodziny nie zaprotestował, dlaczego miałyby się tym przejmować? Prawie nie знаła Conovera seniora, bo zobaczyła go pierwszy raz ledwie trzy lata temu, kiedy Ethan przedstawił swoim rodzicom ją i jej córkę Zoe. George zachowywał się wobec niej uprzejmie, choć z chłodną rezerwą typową dla ubranego w sportową marynarkę i mokasyny bostończyka, który nie chce oceniać nowych członków rodziny, dopóki nie udowodnią, że są warci jego nazwiska. Gdy trzy miesiące temu dostał udaru i zmarł, nie było jej szczególnie smutno. Równie dobrze mogli teraz przewozić w urnie spalone kości i prochy kogoś zupełnie obcego – oto jak mało go znała. Ale tak, uderzyło ją, że traktują go jak resztę bagażu.

Wydawało się jednak, że wdowa po George'u Conoverze nie podziela jej odczuć. Kiedy wpadli do Brookline po

Elizabeth, matkę Ethana, to właśnie ona wcisnęła urnę między walizki i to ona obojętnie zamknęła bagażnik. Gdy uznawała, że sprawa jest załatwiona, nie było żadnych dyskusji.

Chociaż siedziała z tyłu, obok Zoe, w ogóle ze sobą nie rozmawiały. Piętnastoletnia Zoe skupiała całą uwagę na smartfonie, jak typowa nastolatka zamknięta w wirtualnej bańce, gdzie wszystkie rozmowy polegają na klikaniu i przesuwaniu palcem po ekranie. Elizabeth też tkwiła w swojej bańce, patrząc na rozciągający się za oknem krajobraz przecięty łańcuchem wiosek o dziwnych nazwach. Wiscasset. Damariscotta. Waldoboro. Być może wspominała dawne czasy, gdy wraz z George'em jeździli tą drogą do swojego letniego domu nad Dziewiczym Stawem. Choć po pięćdziesięciu pięciu latach małżeństwa była to ich ostatnia wspólna podróż do Maine, jej twarz nie zdradzała smutku. Siwowłosa i stoicko spokojna, siedziała sztywno jak kulek. Cała Elizabeth, zawsze praktyczna i bez sentymentów.

– Ethan? – rzuciła Zoe. – Mówiłeś, że ten dom stoi nad Dziewiczym Stawem. Dlaczego „Dziewiczym”?

„Ethan” – wciąż tak się do niego zwracała. Ciekawe, kiedy zacznie myśleć o nim jak o tacie. Susan spojrzała na męża, zastanawiając się, czy mu to nie przeszkadza, ale chyba nie przeszkadzało, bo nieporuszony, spokojnie patrzył na drogę.

– Dlatego, że przed laty utopiła się tam jakaś młoda dziewczyna.

– Naprawdę? Kiedy to było?

– Hm, mamó? Wiesz kiedy?

Elizabeth otrząsnęła się z zamyślenia.

– Sto lat temu, jeśli nie więcej. Kilka uczennic wybrało się na przejażdżkę łodzią i łódź się wywróciła. Przynajmniej tak słyszałam.

– I ta dziewczyna nie umiała pływać?

Susan zerknęła na córkę.

– Nie wszyscy są syrenkami takimi jak ty, kochanie.

– Poza tym dziewczynki nosiły wtedy więcej ubrań – dodała Elizabeth. – Halki, długie sukienki. Może nawet ciężkie buty. I to musiało pociągnąć ją na dno.

Zoe przewinęła ekran smartfona.

– Piszą tu, że ten staw ma prawie trzynaście metrów głębokości. To prawda?

– Nie mam pojęcia – odparł Ethan.

– Przecież twoja rodzina jeździ tam co roku.

– Tylko mama i Colin. Ja nie byłem tam od lat. – Zerknął w lusterko wsteczne. – Mamo, ile ten staw ma głębokości?

Elizabeth westchnęła.

– To ważne?

– Jeśli jest głęboki, to tak – powiedziała Zoe. – A czy żyje tam coś, co gryzie?

– Oczywiście – odparł Ethan. – Kaczki. Mogą zaskubać każdego na śmierć.

– Ethan!

– A tak na poważnie, to w tym stawie nie ma żadnych groźnych stworzeń. W Maine nie ma nawet jadowitych węży.

– To dobrze, bo na widok węża bym spanikowała.

– Ale ostrzegam: woda będzie bardzo zimna. Ogrzewa się dopiero w sierpniu.

- Nie szkodzi. Chcę kiedyś pomorsować.
- Twoja wola, bo ja na pewno nie.
- Będę się kąpała dziesięć razy dziennie. Nie mogę się już doczekać!

Ethan roześmiał się.

- A ja nie mogę się doczekać, kiedy wskoczysz do wody i zapiszczysz z zimna.

Dobrze było znów słyszeć jego śmiech, bo od kilku miesięcy gapił się ciągle w ekran komputera, czekając na natchnienie. Gdyby tylko pisarz mógł je wyczarować – tak mówił. Gdyby istniała magiczna pigułka lub zakęcie przywołujące słowa na papier. Pięć lat od wydania pierwszej powieści próbował napisać drugą, lecz w miarę upływu czasu coraz bardziej się bał, że jej nie będzie, że słowa nigdy już nie popłyną. Że jest zwyczajnym oszustem, kimś, kto ma chelność zwać się autorem. Jak miał być autorytetem dla studentów kreatywnego pisania w Boston College, skoro nie potrafił napisać ani jednej względnie dobrej strony? Widziała, jak porażka zniekształca mu rysy, jak maluje coraz głębsze cienie pod oczami i grymas wiecznego niezadowolenia na twarzy. W nocy czuła, jak Ethan rzuca się na łóżku, i wiedziała, że to książka nie daje mu spać. Powieść, która nie dawała się napisać. Nie miała pojęcia, jak działa umysł pisarza, lecz wyobrażała sobie, że w jego głowie musi krzyżeć kilkanaście różnych głosów chcących opowiedzieć swoją i tylko swoją historię. Czysty obłęd.

Może dobrze mu zrobi to, że z powodu pogrzebu oderwie się wreszcie od komputera i spędzi trochę czasu z dala

od postaci rojących się w jego głowie? Bo już teraz, coraz bardziej oddalając się od Bostonu, widziała, że rozluźniają mu się mięśnie szyi, podnoszą kąciki ust, że z każdym kilometrem Ethan gubi kolejną warstwę napięcia. Ten wyjazd był mu potrzebny. Był potrzebny im obojgu. Tak, dwutygodniowy pobyt w domu nad stawem to jest właśnie to.

Spojrzała na teściową, która znów patrzyła w okno.

– Wszystko w porządku?

– Tak, myślę tylko o tym, ile czeka nas pracy – odparła Elizabeth.

– Mamo, wszystko załatwiliśmy – zapewnił ją Ethan.
– Colin napisał do mnie rano. Pokoje są już przygotowane, nie będziesz musiała nawet kiwnąć palcem. Kita umieścili na strychu, żeby Zoe mogła spać przez ścianę z nami. Aha, wieczorem wpadną na drinka Arthur i Hanna. – Spojrzała na żonę. – Hanna Greene i Arthur Fox, znajomi moich rodziców. Pamiętasz ich? Też mieszkają nad stawem i byli na naszym ślubie.

– Tak, oczywiście – odparła Susan, choć ich obraz zagubił się wśród innych ślubnych wspomnień. Ona i promiennie uśmiechnięty Ethan stojący przed ołtarzem. Rozpromieniona Zoe w żółtej sukni drużyny. A potem nagle burza, która zapędziła ich do środka, przemoczonych i zanoszących się śmiechem. Pamiętała tylko, że Arthur, wysoki, arystokratyczny osiemdziesięcioparolatek, przerzucał się przy barze historjkami ze starym przyjacielem George'em. Słabo pamiętała też Hannę Greene, piersiastą sześćdziesięcioparolatkę, która opowiadała im o niepowodzeniach, jakich doznała, opiekując

się małym Ethanem i jego starszym bratem Colinem.

– Na nabożeństwie będzie kilka osób, których nie znasz – ciągnął Ethan. – Pastor i kilkoro przyjaciół taty z jacht-klubu. – Znów zerknął w lusterko wsteczne. – Będzie jak za starych czasów!

– Uważaj! – krzyknęła Susan.

Ethan gwałtownie zahamował, samochód zatrzymał się z piskiem opon i rzuciło ich na pasy bezpieczeństwa.

– Jezu – wymamrotał Ethan, patrząc na rząd aut, które wyrosły przed nimi jak spod ziemi. – Mamo, nic ci nie jest?

– Byłoby miło, gdybyśmy dotarli tam w jednym kawałku.

– Nie spodziewałem się aż takiego ruchu.

– Dawno tędy nie jechałeś. Dużo się tu zmieniło. – Elizabeth westchnęła i cicho dodała: – Wszystko się zmieniło.

Stali w korku. Długi rząd pojazdów ciągnął się przed nimi i znikał za zakrętem.

– Pewnie jakiś wypadek – powiedziała Susan.

Potwierdziło to zawroźnienie syreny. Susan odwróciła się, zobaczyła migające światło koguta i po chwili poboczem przemknęła karetka pogotowia.

– Oby niegroźny – rzucił Ethan.

Migające światło lampy sygnalizacyjnej zniknęło za grzbietem wzgórza i Susan wyobraziła sobie roztrzaskane samochody i zmiżdżone ciała. Była wykwalifikowaną pielęgniarką i chociaż nie pracowała już w szpitalu, tylko w szkole, wciąż pamiętała panikę towarzyszącą ratowaniu życia i myślom o wszystkim, co mogło pójść nie tak. Spojrzała

na córkę, która znów wbijała wzrok w ekran telefonu, nie zwracając uwagi na nic innego. Elizabeth też pogrążyła się w zadumie. To, co wydarzyło się na drodze, w ogóle ich nie interesowało, ani jednej, ani drugiej.

W końcu ruszyli i za szczytem wzgórza ujrzeli dwa zgniecione samochody. Siła zderzenia zrzuciła walizki z bagażnika na dachu i rozsiała na drodze jaskrawe konfetti letnich ubrań. W rowie leżał pojemnik na lód i fioletowa tenisówka. Przyjechaliście do Maine na wakacje, nie wiedząc, co was czeka, szepnęła w duchu Susan. Ale kto wyobraża sobie takie rzeczy, pakując szorty i kremy z filtrem przeciwsłonecznym? Każdy myśli tylko o leniwych dniach nad jeziorem i kanapce z homarem nad morzem. Nie przychodzi mu do głowy, że trafi do szpitala.

Albo że już nigdy nie wróci do domu.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).